Rocznik III. Kraków, 1 października 1900. Numer 2.

SKARBNICA

miesięczne pismo ludowe
popularno-naukowe i powieściowe.

Wydawca i redaktor:
Ks. Marceli Dziurzyński.

Warunki przedpłaty i adres wydawnictwa:

„Skarbnica“ kosztuje w **Austryi** na rok: **3** korony (**1** złr. **50** ct.). **półrocznie: 1** kor. **50** hal. (**75** ct.). **W Niemczech** na rok: **3** marki. — **W Ameryce** rocznie: **1** dolar.

Adres: Red. **„Skarbnicy“ w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.**

NAKŁADEM WYDAWCY.

CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ W KRAKOWIE
pod zarządem A. Szyjewskiego.
1900.

Każdy, kto prenumeruje **„Skarbnicę“** i płaci za to pismo z góry **całoroczną** prenumeratę, otrzymuje całkiem

☞ za darmo ☜

jako premię

Książkę do nabożeństwa

pod tytułem

„Jezus, Marya, Józef“.

Na opłacenie przesyłki pocztowej od wspomnianej książki, należy dołączyć do prenumeraty **50** halerzy, czyli **25** centów (z Niemiec **50** fenigów).

Następny (t. j. 3-ci) zeszyt *Skarbnicy* otrzymają tylko ci, którzy już nadesłali prenumeratę, lub wnet ją nadeślą. Kto zaś przedpłaty rychło nie uiści, ten następnego zeszytu już nie otrzyma.

Niektórzy z dawniejszych Czytelników nadesłali z początkiem tego roku **5** koron jako przedpłatę. Ponieważ za rocznik **2-gi** (od stycznia do sierpnia) należy się **3** korony — przeto ci Czytelnicy mają u nas **2** korony nadwyżki, czyli mają dodać teraz tylko **1** koronę **50** halerzy (75 cnt.), a będą mieć prenumeratę na cały **3-ci** rocznik i otrzymają **książkę do nabożeństwa.** Wszyscy zaś inni mają nadesłać całą nową prenumeratę, inaczej następnego numeru nie otrzymają.

Rok III. Kraków, 1 października 1900. Numer 2.

SKARBNICA

PISMO LUDOWE

wychodzi **raz** w miesiącu — dnia 1.

Wydawca i redaktor: *Ks. Marceli Dziurzyński.*

Przedpłata wynosi:

w Austryi: na rok **3** korony (**1** złr. **50** ct.), na pół roku **1** korona **50** halerzy (**75** ct.). — Kwartalnej przedpłaty nie przyjmuje się. **W Niemczech:** na rok **3** marki. — **W Ameryce:** rocznie **1** dolar. **Adres** do przesyłania przedpłaty: **Redakcya „Skarbnicy" w Krakowie, ul. Basztowa L. 4.**

UROCZE OCZY.

Opowiadanie lekarza.

Mało jest takich wsi, a nawet miasteczek, którychby mieszkańcy wolni byli od rozmaitych przesądów i zastarzałych, pewno jeszcze pogańskich guseł. Niech tylko dręczone od bólu niemowlę zanosi się od ciągłego krzyku, to strapiona jego matka nie idzie szukać rady i pomocy u lekarza, ale porywa dziecię, i biegnie z niem do wiejskiej lekarki, aby je zażegnała i urok zły mu odjęła — a gdy choroba się wzmoże, wtedy dopiero dalej do doktora. Owa lekarka jest to kobieta w podeszłym wieku, najczęściej chata jej gdzie na ustroniu — lub w lesie. Znałem jednę — była wysokiej postaci, włos siwy wymykał się z pod jej pstrej chustki i spadał w nieładzie na wychudłe ramiona — twarz pożółkła wiekiem, tysiącznymi okryta była zmarszczkami — szare jej oko ponuro błyszczało z pod gęstych brwi białych, głos jej był chrapliwy, nigdy uśmiech nie rozjaśnił ponurego lica — mimo to owa stara Błaszkowa wielkiej używała sławy i o kilka mil nawet do niej się schodzono.

Mieszkała ona niedaleko od wsi w ciemnym, sosnowym borze w małej komórce, przytykającej do wpół rozwalonej karczemki. — Myślałem, że Błaszkowa zna własność ziół

i niemi leczy niemoce; gdzie tam! badałem dawne jej chore, które się potem do mnie udały, i z żalem dowiedziałem się, że cała jej sztuka zasadzała się na gusłach, a pozyskaną sławę winna była jedynie przypadkowi.

Gdy jej siną od płaczu podadzą dziecinę, to ona najprzód splunie trzykrotnie z uroczystą miną, przeżegna kilka razy cierpiące — zmówi modlitwę Pańską i Pozdrowienie Anielskie, poczem weźmie żarzący węgiel z dużego komina, w grubą szklankę do połowy napełnioną wodą wrzuci i patrzy weń, patrzy długo — proroczo — a biedna matka drżąc od niepewności i trwogi tuli swe dziecię z uczuciem do silnie bijącego serca. — Jeżeli węgiel płynie po wierzchu, to dobrze! jeśli zaś zatapia się źle! bo urok rzucony — wtedy zaczynają się nowe szepty, żegnania, wreszcie posmaruje i da rumianku, jeżeli Bóg przemienić raczy, to dziecię powraca do zdrowia i nowy tryumf dla lekarki; jeżeli się pogorszy choroba lub umrze chory, to urok był za wielki, objąć go nie mogła i jej sława nie ucierpi na tem wcale.

Znoszą jej nawet koszule starszych, ciężko niemocą złożonych osób, aby je zażegnała; a cała jej apteka składa się z rumianku, bzu i lipowego kwiecia. Dopiero, gdy choroba tak się wzmoże, że żadnej nie zostaje nadziei, idą po radę do lekarza — a lekarz widzi, że już niema ratunku! Napróżno błagam, proszę moich włościanek, aby w pierwszej chwili słabości do mnie z ufnością dążyły, bo łatwo w samym zarodku choroby zniszczyć jej siłę; mała tylko liczba nauczona smutnem doświadczeniem słucha przyjaznych rad moich, reszta zawsze pierwej próbować musi szczęścia u Błaszkowej.

Ale ja daleko odbiegłem od zapowiedzianego celu mego opowiadania, a wyście może ciekawi usłyszeć o tych oczach uroczych; jednakże ten ustęp potrzebny mi był koniecznie; wybaczcie mi więc, że nieco zboczyłem z drogi.

I.

Tak to nietylko w rzucone uroki silnie wierzą nasi włościanie, ale nadto utrzymują oni, że są osoby, mające także takie oczy, których jedno spojrzenie nieszczęście niechybne sprowadza. Otóż w jednej z nadwiślańskich wiosek, Sulejowem zwanej, żyła kobieta, której odmienne jedno od drugiego oczy za urocze okrzyczano. Rzeczywiście jedno miała błękitne jak niebo, a drugie zielone, niby spiekła słońcem trawa. Piotrowa Traczykowa (takie było jej nazwisko) nie

urodziła się w Sulejowie, pochodziła ona z dalekich okolic, i oto macie smutną historyę jej życia.

Nie znała ona prawie rodziców, bo pomarli na cholerę, gdy zaledwo trzy lata liczyła; siostra jej matki, owdowiała, zamożna, a do tego bezdzietna gospodyni, przyjęła ją na wychowanie i jak swoję własną kochała. Ta ciotka jej, Magdalena, tak była dobrą, rozsądną kobietą, że mała Marysia nie wiedziała nawet o tem, że jest biedną sierotą, gdyż ciotkę matulką swą zwała. Mijały lata i z owej Marysi śliczna wyrosła dziewczyna.

Właśnie ośmnaście lat kończyła, gdy dnia jednego pędząc z paszy trzódkę swej ciotki, naraz w głębokim parowie opodal od Wisły, tej królowej rzek naszych, usłyszała żałosne jakieś jęczenie; z ciekawością spinała się po białych kamyczkach, które się pod jej nogami staczały z łoskotem, i wdrapała się przez otwór rozpadliny — schyliła główkę, i krzyknęła, załamawszy ręce, bo tam na dole pod rozłożystym krzakiem jałowca, leżał jakiś młody człowiek, znać flis, powracający z Gdańska. — Twarz jego zapadła, nosiła piętno srogiego cierpienia — tarzał się po spiekłej murawie i błagał ratunku! pomocy!

— Litością zdjęta Marysia, zsunęła się na dół parę kroków — i zapytała nieśmiało „co to wam jest? czego tak jęczycie, biedny człeku?“ — „Ratujcie, na miłość Boga ratujcie!... umieram... głowa mnie boli... pali... zdaje się, że pęknie z bólu, o! zlituj się, ratuj!... pić!...

Marysia jak sarneczka podskoczyła na górę, na której szczycie stała chata Magdaleny. Zastawszy ciotkę na podwórku, zadyszana, opowiedziała pospiesznie całe zdarzenie, i prosiła o pomoc dla nieszczęśliwego. Dobra ciotka, która w każdym człowieku widziała bliźniego, a każdy cierpiący był dla niej bratem, nie ociągała się, ni namyślała, lecz przywoławszy swego parobka i drugiego krewniaka, kazała im przenieść chorego do swej chaty, i złożyć na własnem łóżku. Obłożyła mu głowę zimną wodą i zostawiwszy pod opieką Marysi, pobiegła do dworu po radę.

— Parę tygodni ciężko był chory, bezprzytomny zrywał się, krzyczał i wiele biedy i kłopotu zadawał swym opiekunom, bo jego słabość była silnym tyfusem; pani tej wioski przysłała mu światłego lekarza, którego leki zwalczyły wreszcie chorobę i niebezpieczeństwo minęło. — Magdalena z Marysią nie ustawały w czułych staraniach, dzięki im najwięcej, chory wracał do życia, i sił dawnych.

— Gdy już powstawać zaczął i wszystko w chacie do dawnego wracało porządku, krewniak Magdaleny, ów Janek, co to dopomógł podźwignąć chorego, ujęty dobrocią Marysi, przysłał do niej swaty. — Ucieszyła się bardzo ciotka, bo Janek był poczciwym chłopcem, i jedynakiem zamożnych rodziców, ale Marysia skryła się za piec, ani odebrać wódki, ani nawet wyjść nie chciała; próżne były prośby i namowy ciotki; próżno Janek przypominał jej, jak w przeszłe zapusty ochoczo z nim tańcować lubiła, a nawet pójść za niego obiecywała; napomknął, jak niejednę wstążkę już od niego przyjęła, a nawzajem sama dała mu pierścionek z Matką Boską, że zdradzać tak szczere kochanie, to wielki grzech u Pana Boga i on za to ciężko karze.

Rozdąsana dziewczyna, na te słowa wybiegła szybko, otworzyła skrzynkę, wszystkie wstążki rzuciła pod nogi Janka i napowrót wróciła za piec, a nieznajomy flis siedział pod piecem i uśmiechał się wesoło.

— Odeszły swaty — zmartwiła się ciotka, ponowiła jeszcze naleganie: ależ jej słowa istny groch na ścianę, bo u Marysi w głowie co innego, a Marysi serce do owego przybysza już należało. — Zmiarkowała wreszcie i ciotka co się święci, odgadła ich spojrzenia, dosłyszała szepty, a widząc, że już zdrów zupełnie, prosiła, aby opuścił chatę. — Wtedy flis oświadczył swe zamiary ciotce, lecz ta wyrzekła stanowczo, że nigdy swej Marysi nieznanemu człeku nie odda. Ale widząc łzy wychowanki, dodała, że jeżeli osiądzie w tej wiosce, i objąwszy służbę u którego z gospodarzy zachowa się dobrze — i wiernie przez rok — to Marysię za żonę dostanie.

Flis ten nazwiskiem Piotr Traczyk przystał niby na to wszystko — ale w duszy niewdzięcznika inaczej się działo — nie chciał on porzucać swej wioski rodzinnej; choć sierota, utrzymujący się tylko z flisostwa i zarobku. chciał jednak żyć i umierać między swemi. — Ale samolub kochał bardzo Marysię — i dał sobie słowo, że musi zostać jego żoną. Niepomny na odebrane dobrodziejstwa — i szlachetność Magdaleny — chciał jej wydrzeć jedyną pociechę — tę ukochaną Marysię, którą tak troskliwie wychowała — wydrzeć ją wtedy, gdy jej swą czułością sowicie wypłacać zaczęła poniesione trudy. — Nieprawda, że to byłoby haniebnie?

II.

Ale tak się stało, niewdzięczny Piotrek namówił kochającą go dziewczynę, aby z nim uciekła — długo ani słyszeć

o tem nie chciała — ale jak zaczął zapewniać, że ciotka się pocieszy — że zawsze się musiałyby rozłączyć — jak jął opisywać, ile z nim będzie szczęśliwą, jak tam cudnie w jego stronach — jakie jej co rok z Gdańska przywiezie korale — tak nieszczęsna, płocha dziewczyna uległa jego prośbom — i na ucieczkę przystała.

— Dla niepoznaki pożegnał ciotkę — i przed wieczorem wyruszył niby w drogę — a rzeczy schował się w krzakach parowu, i tam oczekiwał nocy. Gdy kur powtórnie zapiał, flis zbliżał się cicho do chaty. — Zabój nie szczeknął, bo znał go doskonale — podsunął się więc Piotr pod okienko i z lekka zastukał trzy razy. Marysia nie spała, usłyszawszy znak umówiony, wzięła przygotowane zawiniątko, ucałowała nogi śpiącej spokojnie ciotki — uklękła na progu— płakała, i modliła się chwilkę, a za powtórzonem pukaniem, odemknęła drzwi z lekka, i opuściła na zawsze chatę swej dobrodziejki, swej drugiej matki!...

Nie będę wam opisywał smutnego obudzenia, żalu, i łez ciotki — to tylko powiem, że się tak zgryzła postępkiem siostrzenicy i niewdzięcznością Piotra — aż w parę dni dostała silnej, panującej wtedy gorączki — może też przejęła ją, pielęgnując chorego, dość że w dziesięć dni nowa mogiła przybyła na cmentarzu, mogiła Magdaleny, nieskrapiana łzami Marysi. — Dalecy krewni rozdzielili się jej mieniem, o Marysi zapomniano, bo któżby miał o niewdzięcznicy pamiętać?... Ciotka tylko jedna przebaczyła jej przed śmiercią, pragnęła jeszcze raz ujrzeć i przekazała jej wszystko, ale jej słowa wraz z nią zagrzebane zostały.

A Marysia? Marysia wędrowała długo, długo z Piotrkiem, nieraz i głodu namarła, nieraz żałowała swego postępku, ale powracać nie śmiała. Przybyli wreszcie do Sulejowa. Piotrek kazał jej przez dzień jeden zatrzymać się w bliskiej wiosce, a potem, aby przyszła sama i objęła służbę na rok u której gospodyni, boby inaczej Proboszcz im ślubu dać nie zechciał.

Usłuchała jej rady, przyszła do Sulejowa, mówiąc, że jest biedną sierotą, że szła z bandosami na żniwo, ale zasłabła, i oddzielić się od nich musiała, a teraz chce wejść w służbę. Banaszkowa bogata gospodyni, potrzebowała właśnie dziewki, przyjęła ją chętnie, rok cały przebyła u niej Marysia — a ten rok był już przedwstępem kary za jej przewinienie.

Banaszkowa była wielką złośnicą, wymagającą ciągłej pracy; biedna dziewczyna przyzwyczajona do pieszczot ciotki, do jej względności, lepszej strawy, nie przywykła do tak ciężkiej roboty, oblewała swój chleb gorzkiemi łzami, chciała już bądź co bądź wracać do rodzinnej wioski, ale bała się puszczać sama w tak daleką podróż. Przebiedowała więc rok, a po roku została żoną Piotra Traczyka.

Parę miesięcy była dość szczęśliwą, bo Piotrek dobrym był dla niej mężem, o ile możności chciał zagłuszyć wzajemne wyrzuty sumienia; ale gdy z wiosną usłyszał pluskanie wioseł, gdy doszły jego uszu piosnki flisów, ta ich cała pociecha, pożegnał młodą, ukochaną żonę, i dalej z innymi na galary, do Gdańska. Marysia została sama wśród obcych, co od niej jakoś stronili, aż wrócił w jesieni Piotrek, przywiózł jej pięknych bursztynów i korali, ale zarazem i smutną wiadomość o śmierci ciotki, którą zasłyszał w przechodzie przez jej rodzinne sioło. O! płakała też biedaczka, płakała rzewnie, zda się, że wypłakała łez całe źródło, lecz znalazł się wnet nowy ich zdrój, bo Marysia zostawszy wkrótce matką, parę dni tylko cieszyła się tą drogą nazwą; dziecię umarło, gdyż jej pokarm przepełniony był żółcią. Odtąd ciągle smutna, żyła jedynie dla swego Piotra, a gdy i ten poszedł na zwykłą wędrówkę, zaledwie się Wisła z więzów zimowych wyswobodziła, Marysia myślała, że jej serce z żalu pęknie przy pożegnaniu, i utulić się długo nie mogła.

Nie omyliło się przeczucie, o kilka bowiem mil za Warszawą, galar ładowny pszenicą zatonął, wiele ludzi zginęło w nurtach wody, a między innemi i nieszczęsny Piotr Traczyk! — Ujrzawszy wracających o niezwykłym czasie flisów, Marysia zadrżała, krzyknęła rozpacznie, i bezprzytomna upadła na ziemię... domyśliła się już biedna swego nieszczęścia....

III.

Wraz z Piotrem zatonęło ostatnie dobro Marysi, odtąd też nikt nie dojrzał uśmiechu na licach biednej robotnicy, Piotrowej — pracowała ona, aby żyć, a żyła, bo Bóg kazał do kresu dźwigać nieszczęść brzemię.

Na domiar kary, ludzie coraz więcej od niej stronić zaczęli — blade jej oblicze, oczy odmienne, zawsze łzą zamglone, zamiast obudzać litość, odpychały ją od wszystkich. — A gdy jeszcze szczególniejszem zrządzeniem niezbadanych wyroków Przedwiecznego, Marysia raz szyła przed chatą są-

siadki, wziętą od niej robotę, syn tejże siedmioletni, rozpustny Franek, wdrapał się na dach, aby wykręcać młode wróble — nagle obsunęła mu się noga, spadł na stos drzewa i złamał sobie rękę!... Cała wina spadła na oczy Marysi.... Ah bodaj cię licho wzięło z twemi oczami!... krzyknęła gniewnie matka Franusia, odpychając silnie chcącą podnosić chłopaka Marysię.

— Bledsza jeszcze jak zwykle i smutniejsza Piotrowa, odeszła do swej lepianki, w której już samotnie spędzała wolne od pracy chwile. Chociaż Franek wyzdrowiał zupełnie, Marysi dola nie zmieniła się wcale; gdy szła przez wieś na robotę w pole, jak mogła najraniej, a spotkała przypadkiem kogo, to odwracał się od niej na bok, spluwając i szepcząc: a na psa urok! — Przy żniwie nikt do niej nie zagadał, a gdy na domiar jej nieszczęścia, jednego gorącego dnia sierpniowego, obok niej stojącej żniwiarki niemowlę dostało konwulsyj, przestrach wieśniaków zwiększył się bardziej; zwiększyła się siła wiary w urocze oczy Marysi, i na oddalonym tylko zagonie żąć jej było wolno. W milczeniu zniosła tę nową przykrość i ofiarowała Bogu za swe dawne przewinienie. Wystawcie sobie okropne położenie tej biedaczki, nie miała ona przyjaciela — znikąd nie usłyszała słowa współczucia ani pociechy! Gdy wieczorem wracała do siebie ostatnia, umykano przed nią, jak przed złem powietrzem.... Idzie! idzie! wołano, a gospodarz porzucił swój wóz napełniony zbożem, i krył się w najbliższej chacie, kumy zamykały z pośpiechem drzwi swoje, małe nawet dzieci uciekały, krzycząc z całego gardła: urocze oczy! oh urocze oczy! precz! precz!

A Marysia zahartowana w szkole cierpienia, znosiła to wszystko z anielskiem poddaniem się karzącej ją prawicy i prosiła Boga, aby jak najprędzej ostatnia jej godzina wybiła. — Wysłuchane jej były błagania, i następne zdarzenie przyniosło smutny koniec jej męczarni. Właśnie wracała od grabienia siana, szepcząc Anioł Pański na odgłos jęczącego dzwonu — wtem z pobliskiego błonia rozległ się tentent, to chłopak pędził stadninę. — Piotrowa zeszła z drogi i kryjąc swe oczy ręką, bo doprawdy zaczynała się sama lękać ich władzy, usiadła pod rozłożystą lipą, co opodal stała — nadbiegły w pląsach żwawe koniki, chłopak siedział na najpiękniejszym źrebcu, i pogwizdując, poganiał batem swe stadko. — Na raz koń jego dostrzegł bielejąca się spódniczkę, i sterczące na ramieniu Piotrowej grabie — przestraszony

skoczył w bok, stanął dęba i zrzucił jeźdzca, który upadając o kamień przydróżny, rozbił sobie głowę. Z głośnym płaczem przybiegła Piotrowa i swoim fartuszkiem płynącą krew tamować zaczęła. Na jej krzyk zbiegli się ludzie, a ujrzawszy chłopca bez zmysłów i głowę jego zbroczoną w rękach uroczej Marysi, czarownica! zawołali z oburzeniem — precz ztąd! czarownica! zabiła go! precz ztąd urocze oczy! Popychana, zelżona, prawie obłąkana zaledwie trafiła do chaty— tam ze ściśniętem sercem zrobiła zawiniątko swych rzeczy, zarzuciła je na plecy, i myślała długo, w którąby się udać stronę: serce ciągnęło ją do swoich, ale niestety! czyż trafi tak daleko i kto wie, jak tam będzie przyjętą?... Myślała wzdychając, lecz nie płakała, bo i łez już nie stało; wreszcie przypomniała sobie, że o milę od wsi jest duży las, w którym często zbierając grzyby i jagody dla ekonoma (bo na jej nieszczęście państwo nigdy nie mieszkali w Sulejowie), zapoznała się z żoną mieszkającego tam smolarza. — Wiedziała, że ta kobieta obarczona dziećmi, potrzebuje kogo do pomocy. Podziękowała niebu za tę myśl, błagała Boga, aby oddalił już od niej kielich goryczy, i sprawił, iżby raczej oślepła, niżby jej oczy nieszczęście przynieść miały w nowej siedzibie. — Poczem wyszła z pośpiechem — nie miała się z kim żegnać, nawet na mogile męża zapłakać nie mogła, bo Wisła była jego cmentarzem, wyrzekła więc tylko... o Piotrze, drogi Piotrze! ciociu, moja matko! zlitujcie się, ubłagajcie Pana, aby mnie wkrótce z wami połączyć raczył!... To rzekłszy, opuściła już Sulejów na zawsze.

IV.

Smolarz i jego żona przyjęli Piotrową chętnie, a dzieci ich pokochały ją od razu, bo im na początek podarowała swe złociste bursztyny, i dobrą Piotrową, starsze, a swoją Marysią młodsze ją nazwały. Mijały tygodnie, miesiące, odetchnęła nieszczęsna, bo zdało się, że jej oczy straciły już swój urok wraz z odmianą miejsca — pracowała, ile jej sił stało, była pomocą w gospodarce i drugą matką dla siedmiorga dzieci węglarzy, a ci jej się odpłacali sercem, chlebem i czem mogli.... I już dawno Piotrowa nie pamiętała tak błogich dni! z jakiemże uczuciem dziękowała Ojcu wszystkich ludzi za tę pociechę. Tak upłynęły dwa lata — ona nie zajrzała do Sulejowa, nawet do innego kościoła chodziła, aby nie spotkać nienawistnych — w lesie kryła się w gęstwiny, gdy przypadkiem znajomą dziewczynkę na jagodach spotkała.

Aż tu razu jednego, gdy zbierała gałęzie na opał, znagła usłyszała rozpaczne jęki i łkania, wychodzące z samego środka lasu: idąc za popędem dobrego serca, niezrażonego złością ludzi, biegła tam, gdzie ją okrzyki boleści prowadziły, przedzierała się przez zarośla, krzaki, ręce jej pokłute rozrywały pnące się jerzyny, jęki coraz bliższe — wreszcie widzi kobietę, uciekającą z przerażeniem już prawie bez tchu. Mała dziewczynka uczepiona u jej spódnicy, ostatnich sił dobywa, by spieszyć za matką, a za niemi tuż pędzi zajadła wilczyca z roziskrzonem okiem, z roztwartą paszczą, znać naszły jej legowisko; już wilczyca chwyta prawie ustającą dziecinę — jeszcze chwilka, już będzie po niej... gdy prędsza jak myśl, Piotrowa, rzuca się pomiędzy nich, i dziewcze sobą zasłania. Kobieta osłupiała, stanęła przerażona, a wilczyca ujęła nogę szlachetnej ich zbawczyni ... Piotrowa ciężko jęknęła i zemdlała z bólu. Na szczęście nadbiegł węglarz, jednem cięciem siekiery, powalił rozżartego zwierza, który w śmiertelnych drganiach silniej zacisnął w paszczy zdruzgotaną nogę nieszczęśliwej. Z trudnością wydobył ją poczciwy węglarz, a porwawszy w swe zaczerniałe objęcia zemdloną. — O mój Boże! to ona!... wykrzyknął z rozpaczą....

Ah to ona! to urocza Marysia Piotrowa! wtórowała ocalona kobieta i jej dzieci, to ona! wybawiła nas, a ja jej tak dokuczałam, tak ją lżyłam!... Była to bowiem ta kobieta, której dziecię zasłabło niegdyś przy żniwie, a ta dziewczynka, tem właśnie była dziewczęciem: ta kobieta była największą nieprzyjaciółką Piotrowej, ona najwięcej zniesławiła jej niewinne oczy. Węglarz zaniósł bezprzytomną do swej chaty, żona, dzieci, z głośnym płaczem ratowały ją jak umiały; ocalone całowały zimne jej ręce, przepraszały, otworzyła wreszcie oczy Piotrowa... poznała ich... zrozumiała, co mówią, i słabym głosem szepnęła: ah przynajmniej raz moje oczy ocaliły kogo!... powiedzcie mi jeszcze, czy ten chłopiec od stadniny!... żyje?...

— Żyje, zdrów zupełnie, odrzekła kobieta.

— Boże, dzięki Ci! szepnęła znów Piotrowa i na nowo zmysły straciła. Rana jej była okropna, rozżarta bowiem wilczyca, że odkryto legowisko dzieci, pół nogi prawie roztrzaskała. Nadaremnie owa kobieta wróciwszy do Sulejowa, sprowadziła dla zranionej lekarza z pobliskiego miasteczka, codzień widocznie słabła, nikt jednak nie słyszał jej narzekania, owszem cieszyła się, widząc ulatujące życie; bo ufała miłosierdziu Boskiemu, że już tu odpokutowała za grzechy,

i tam szczęśliwa połączy się z ukochanymi. — Poprosiła o księdza, a przyjąwszy Sakramenta SS. oddawna po raz pierwszy się rozśmiała, wznosząc oczy ku Niebu.

Mieszkańcy Sulejowa, dowiedziawszy się o całem zdarzeniu, nie szczędzili darów i ofiar na doktora i aptekę, a słysząc, że lada dzień umrzeć musi, bo gangrena wdała się w nogę, a Marysia za słaba do zniesienia amputacyi, poszli prawie wszyscy do lasu, widzieć ją raz jeszcze i nie lękając się już uroku przygasłych oczów, błagali ją o przebaczenie.

Marysia Piotrowa przyjmowała ich mile, mówiła, że oni niewinni, tylko Bóg chciał ją tak ukarać za jej przewinienia.

Gdy odeszli, rozdała wszystkie swe rzeczy dzieciom węglarza, prosząc aby czasem Zdrowaśkę, za duszę jej i Piotra zmówili, a uśmiechnąwszy się do nich, westchnęła raz jeszcze, niby na zakończenie cierpień ziemskich, i dusza jej uleciała do Boga.

Rodzina węglarza parę dni utulić się od żalu nie mogła.

Gromada Sulejowska złożyła się na jej pogrzeb, mąż nawet ocalonej kobiety z dziecięciem, postawił krzyżyk na jej mogile.

Tak to lud nasz ma dobre serca, nieszczęsne gusła i przesądy zabijają niejedno szlachetne uczucie. I tu po niewczasie żałowali Piotrowej, nie szczędzili jej datków; chociaż gdy żyła, nie mieli dla nieszczęsnej ani jednego słówka pociechy, pomiędzy liczną gromadą nikt nie chciał być obrońcą niewinnie uciśnionej, nikt zły jej nie otarł, nikt na wsi ręki pomocy jej nie podał!...

A co na to powiecie, gdy na zakończenie wyznam wam jeszcze, że na pogrzebie Marysi żony Piotra Traczyka, znaleźli się tacy co mówili:

— Bądź co bądź, moja kumo! lepiej się stało, że raz umarła, bo niech ta będzie jak chce, ale ona miała oczy urocze.

— A jużcić prawda, mój kumie, a niech ta z Bogiem spoczywa!

Kilka słów o czarownicach w Polsce.

(Dokończenie.)

„2. We wtorek po południu koło godziny 5 i 6, tenże Grzegorz Klecha dobrowolnie przypytany przez różne okoliczności do inkwizycyi i skargi przeciwko niemu, jeżeliby się

znał do tego, o co był obwiniony, dlaczegoby uciekał z miasta, z ratusza, z posłuszeństwa, a potem w Pleszewie z powrozów związanych, także i z łańcucha? przez niemały czas popierając i różne exkuzacye dając, jednakże po niemałym czasie rzekł: Byłem ci trzy razy na tej łysej górze; już to rok minął, jakom przestał tego, grywałem na piszczałce drewnianej, jenom tam sam był, a to Brelka, co mnie powołała, żem jej nie chciał grać. Dalej nic nie chciał zeznać dobrowolnie.

Pierwszą próbą tortur, pytany będąc o miejsce łysej góry, wyznał: W Sosnicy jest tam stare dworzysko, tam bywałem; jest też tam i nowy dwór. Pytany: Czemuście tak daleko bywali? Odpowiedział: bo mnie tam zawzięły z sobą. Trzy razym tam jeno był, ale już to rok minął. Brelka mi mówiła; zagrasz nam, będziesz się miał dobrze. Pytany, będąc, któreby mu to mówiły, gdyż już kilka lat jako Brelkę spalono, długo przał, a potem rzekł: Brelówna, co ma kuśnierza. Więcej nic nie chciał zeznać. Potem spuszczony po trzech ćwierciach godziny, albo mniej do kłody, rzekł te słowa: przypomnę sobie jeno, tedy wam powiem. Więcej nic zatem nie zeznał.

„3. We środę rano koło godziny 5 i 6 dobrowolne zeznanie. Pytany będąc, jeżeli sobie przypomniał, jako dnia wczorajszego przyobiecał wyznać? Odpowiada: Przypomniałem. A to też bywa Maślaczka i kuśnierka, co mieszka podle Kuby, kowala na przedmieściu, a z drugiej strony podle rzeźnika. Pytany: jakoby ją zwano? Odpowiedział: nie pamiętam; ma męża małego, tak niewielki chłopek. a podchmurno wygląda, ma suknią lazurową, a drugą wełniankową.

Na tem się zasadził z półgodziny większe, iż nie wiedział jako tę kuśnierkę zowią, a po niemałym czasie w kłodzie siedząc, dobrowolnie zeznał, że Pępkowa, kuśnierka; bywały też tam z Rozdrażewa, ale już je spalono. Pytany: coby tam robiały? Odpowiedział: jedzą, piją, tańcują, ale to tam świńskie bobki. Pytany: a jakoż ty to wiesz? Odpowiedział: bom był wziął raz do domu w kieszeń, rozumiałem, że kołacz, kiedym przyszedł do domu, ale świńskie bobki były w kieszeni.

„4. Koło godziny 10 i 11 drugi raz dobrowolnie pytany przez pana wójta i landwójta, i pana Paszkiewicza, różnemi okolicznościami powtórnie będąc pytany: jakoby mu przyszło do tego, że bywał na łysej górze, z jakich okazyj, ktoby go tam najpierwej namówił, albo z sobą brał; po długiem pytaniu odpowiedział; Słomiana mię naprzód namówiła i ta mię najpierwej na wózek z sobą wzięła na łysą górę, bywałem z nią ku Jarocinu, ale ją już dawno od kilkadziesiąt lat spalono.

Pytany, jeżeliś nie z młodych lat tego się nie nauczył, kiedyś służył w Łąkocinie za średniaka, a tameś ztąd uciekł, jakoś się sam przyznał na początku i przed Kuszną, który cię strzegł. Odpowiedział: prawda to, żem tam służył, alem jam się tam nic złego nie nauczył. Mieszkała tam Janaska, leśnego żona, chałupnica podle mego gospodarza, i ta mię namawiała, żebym jej służył, uczyła mnie czarować, mówiła mi: będziesz się miał dobrze, jam jej też mówił: Mamci ja się dobrze u mego gospodarza, a ona mi rzekła: będziesz się miał u mnie lepiej, jeno kiedybyś mi nosił w te wielkie święta świętości, kiedy to ludzie przyjmują na wielką noc w kościele, żebyś tę świętość wyjął z gęby, a przyniósł mi, kiedy się będziesz spowiadał. Pytany będąc, jeżeli to czynił? Odpowiedział: nie czyniłem.

Zastałem tę Janaskę raz u bydła, w chlewie gospodarskim, wylazła z obory od bydła, kiedym ja szedł bydłu dać jeść z rana; przyjdę do stajni, aż bydło nasowiało. Kiedy ta Janaska doiła swoje krowy, to mleko kołatało w garnku, a kiedy nasza gospodyni doiła, to tylko woda była. Powiedziałem przed gospodarzem o tem, że ta Janaska była u bydła, wyszła z obory, kiedym niósł bydłu, potemem mu powiedział, że mnie namawiała, żebym jej służył i żebym jej świętości przynosił, i że mnie chciała uczyć czarować. Ten gospodarz skarżył się przed sołtysem o to i w tydzień kazali wziąść tę Janaskę i spalono ją; jam ją woził do stosu, a potemem był uszedł, bo nas chcieli brać na żołnierkę.

Przypytany zatem o te osoby, które także dobrowolnie zeznał z rana, jeżeliby to nie mówił z gniewu, ze złości, albo jakiej nienawiści, obowiązując go strasznym sądem Boskim, żeby nikogo niewinnie nie posądzał, a winnych też nie tail, byle prawdziwie wiedział, że są winne, o które powtórnie pytany, nie wymieniając osób, on je wymienił i powtórzył: Maślaczka, Pępkowa, kuśnierka, kowalka Jednoroszczanka i Janowa Świebodzina stara, tam bywają na tem dworzysku w Sośnicy, gotowem im to wszystkim w oczy wymówić.

„Zatem pytany do punktu w inkwizycyi, jako go przeszła żona jego w dzień czwartkowy zastała nago w kominie zimnego, coby tam robił? Odpowiedział: byłem u tej swojej Jaśkowej młodej. Tenże zeznaje jako się nagościom djabelskim nie mógł odjąć. Kiedym chodził jednego czasu z listem do Karmina za nieboszczyka Pana, szedłem przez las i myślałem też sobie jakoto około mnie bieda była i z żoną, i płakałem, i zastąpił mi jakiś Pan w lesie w nocy na koniu i namawiał

mnie, żebym mu służył; mówił mi: będziesz miał dobrze, dam ja tobie pieniędzy, dam ci talarów; mówił mi, żebym z nim wsiadł na konia, żebym jechał z nim. Jam go pytał: dokąd? On mi rzekł: tu do Sośnicy na dworzysko; alem ja nie chciał, i mówił mi: jest nas tam dość; i jam się przeżegnał. Znowu kiedym pasł woły ku Gałąskom na kałach, to mnie też byli wzięli.

„5. We środę trzeci raz będąc pytany po południu, w obecności JMPana Franciszka Sadowskiego, Komisarza JW. Pana Dobrodzieja. „Naprzód pytany, jeżeli to prawda, co zeznał przed południem na te osoby i jeżeli nie z gniewu, nienawiści, albo złości? Odpowiedział: toż zeznaję; bywały Janowa, Swiebodzina, Pępkowa, kuśnierka i Maślaczka, kowalka Jednoroszczanka, burmistrzowa na waszem mieście, Siejny córka. Widziałem ją tamże pod Sośnicą na temto dworzysku, na kolasce jeździła, czarne konie, para pięknie ubrana. Pytany, coby tam robiły? — jadły, piły, tańcowały, i jam też z nimi bywał, grywałem im na piszczałce, ale jej już nie mam. Potem wzięty na tortury i będąc pytany: czegoby ta Janaska w Łokocinie uczyła, jako przedtem zeznał, iż go uczyła czarować, kazała mi Najświętszy Sakrament przynosić i mówiła: zakopać to w ziemię, coby była susza; alem ja tego nie uczynił i nie przynosiłem. W siedm lat po Słomianej oddała mnie tej djablicy mojej Jaśkowej, niewiasta z Rozdrażewa komornica, kucharka, ale już umarła; miałam wesele z tą Jaśkową, djabeł nam dawał ślub. Pytany: jakim sposobem? Odpowiedział: mówił mi: Dawam ci tę polubienicę, abyś ją miał za żonę, i tak czynił, jako ona chce. Pytany zatem, jeżeli się nie zaprzał Boga? Odpowiedział: mówiłci mi, abym się zaprzał i Najświętszej Panny; jam rzekł, odrzekam, ale nie do śmierci.

Pytany o uczynki, odpowiedział: kazał mi ten djabeł czynić złe, coby bydło zdychało, coby się zboże nie rodziło, coby była susza, coby deszcze nie padały. Pytany: jakimby to sposobem kazał mu czynić? Odpowiedział: kazał mi czynić robaki z liścia dębowego, żeby trawę wyjadły, żeby susza była.

Któreto zeznania nie z męk, nie cierpiąc, tylko na torturach zostając, zeznał, lubo po trosze, według prawa postraszony. A zatem w kłodę spuszczony, przyznał się: Zakopałem na wielkim lesie w garnuszku za budami dębowe liście w przeszłym roku. Pytany, na co? Odpowiedział: żeby była susza, żeby bydło zdychało, i na robaki, coby trawę jadły,

mówiłem te słowa: niechże będzie susza i deszcz niech nie pada, póki to liście nie zgnije. Pytany zatem: jeżeli też to wszystko prawda, co przed sądem zeznał tak dobrowolnie, jako z tortur, czyli nie? Odpowiedział: prawda to wszystko. Pytany o te osoby, które zeznał, żeby sumienia swego nie zawodził, żeby nikogo niewinnie nie posądzał, a złych albo winnych żeby nie tail i nie ochraniał, odpowiedział: Prawda! bywały też tam kędy i ja, gotowem im w oczy wymówić i biorę je na sumienie swoje.

„6. Święto w czwartek Małgorzaty św., w piątek i w sobotę nie torturowany, jednakże dobrowolnie twierdził, że to prawda, com wam raz powiedział, toż zeznał i w niedzielę.

„7. Poniedziałek po niedzieli szkaplerzowej z rana dobrowolnie zeznanie Grzegorza Klechy. Po aktach pobożnych, które się z nim mówiły i po różnych perswazyach sam mówił te słowa: Żałuję Panie Boże mój, za wszystkie grzechy i za wszystkie złe sprawy i uczynki moje.

Zatem pytany o uczynki, coby komu złego zrobił, osobliwie o garnek, który zakopał za budami, odpowiedział: nie wielkić to był garnuszek prosty jeno jako piąstka dziecięcia; wziąłem go garnczarce na rynku, mówiłem jej: Bóg zapłać! Pytany, jakimby to sposobem i na coby zakopał, i jeżeli kto był z nim? Odpowiada: nie był nikt przytem, na tomto zakopał, żeby trawy nie było, żeby bydło nie miało co jeść i żeby żołędzi nie było, było dębowe liście w tym garnuszku. Pytany: jeżeliby ten garnuszek znalazł, gdyby go tam posłano? Odpowiedział: a nie znalazłbym ci, nie wiem, bo daleko od drogi. Pytany: jako dawno zakopał? Odpowiedział: około św. Wawrzyńca, tak rok po południu. Pytany, jeżelito prawda, jako zeznał przedtem, że się zaprzał Boga i Matki jego? Odpowiedział: Znam się do tego i do tych złych spraw. Przeniesiony na insze miejsce do chlewa, powtórnie pytany, zeznał: prawda to, żem się zaprzał Boga i Matki jego.

„8. Badanie 3-cie Grzegorza Klechy z rana w poniedziałek. Wyjęty z kłody i położony na tortury, rzekł nic nie cierpiąc te słowa: Mój Dobrodzieju, nie wieleć tam tego jest w tym garnuszku z tem liściem, tylko proszek niby strzelany. Pytany, zkądby go miał: Odpowiedział: ta mi go dała niewiasta z Rozdrażewa, kucharka. We czwartkowy dzień mi go przyniosła, dała mi go na rynku, kiedy przyszła do kościoła. Pytany: z czegoby był robiony: Odpowiedział: Nie wiem! Pytany: jeżeli była która z nim, kiedy to kopał? Odpowiedział: już ja wolę powiedzieć, iż były; jeno, iż ich nie znam;

nie pomagała mi żadna, tylko ta białogłowa z Rozdrażewa, ale już umarła, ale insze o tem nie wiedzą.

Pytany powtórnie o insze,któreby z nim bywały na łysiej górze? Odpowiada: Pępkowa, co na nowem mieście brat jej, Maślaczka, kowalka Jednoroszczanka, Janowa stara Świebodzina.

Pytany, coby tamte osoby, które już to kilka razy zeznał, robiły na łysej górze, odpowiedział: jadły, piły, tańcowały, z swoimi djabły, w czerwieni byli, ale ja nie wiem, jako któremu imię było i jako się zwali, bom ja tam grywał na piszczałce; bywa tam tego siła, któż ich może znać, tam bywają za tą Sośnicą, ale się zakrywają. Pytany: jako przedtem zeznał na burmistrzową? Odpowiada: nie wiem, bom jej nie uznał, nie wiem. Na Biskupkę mówiłem i na tę garnczarkę, ale niewinnie, bom to z gniewu mówił na nie: bom się na Biskupkę rozgniewał, kiedy skarżyła na mnie; tym inszym gotowem w oczy wymówić, że tam bywały kędy i ja, ale tej burmistrzowej nie wiem, nie uznałem jej tam. Spuszczony w kłodę, rzekł: znam się do tego wszystkiego, com zeznał i powiedział, ale już nic więcej nie powiem, kiedy nie wiem dowodnie, boby mnie Bóg na sądzie Boskim karał. Na tę Biskupkę mówiłem, ale nie prawda, bom się gniewał na nią, co skarżyła na mnie.

Zatem obowiązany strasznym sądem Boskim, żeby nikogo niewinnie nie posądzał, a winnych nie ochraniał, odpowiedział: nie posądzam tylko tych, com powiedział, Pępkową, Maślaczkę i kowalkę Jednoroszankę i Janową starą Świebodziną; gotowem im to wymówić w oczy i z tem iść na straszny sąd Pański.

„9. We wtorek koło godziny 4 i 5 z rana dobrowolne pytanie Grzegorza Klechy: jeżeliby się znał do tego, co już raz zeznał przed sądem i do tych osób, które posądził i w oczy im obiecał wymówić? Odpowiada: Znam, Panowie, prawda to wszystko, com powiedział, gotowem w oczy wymówić, którem zeznał, że też tam bywały kędy i ja, i z tem pójdę na sąd Boski“.

Na tem się skończyła inkwizycya Grzegorza Klechy co do jego mniemanego czarostwa; teraz występował on jako świadek przeciw Pępkowej i Maślaczce, które przed sąd wójtowski pozwane, podobnie pletły na mękach jak Klecha i znowu kilka nieszczęśliwych kobiet w sprawę swoję o czary wplątały. Wszystkie te osoby spalone zostały żywcem. Pępkowa okazała wiele męstwa i wytrwałości. Kilka razy na męki wzięta, prze-

czyła statecznie zarzutom, które jej zabobonny i okrutny sąd czynił; nareszcie znieść nie mogąc powiększanych coraz z rozkazu sądu cierpień, pletła to samo niemal, co Klecha. Żadne jednak męki wymódz na niej nie mogły zeznania przeciw własnej córce, o której na każde zapytanie oprawców: czy córka jej jest także czarownicą, czy bywała z nią na łysej górze? odpowiadała zawsze: córka moja czysta jak kryształ!

I tak ginęli biedni ludzie straszną śmiercią, niby na podstawie ich własnych zeznań, wymuszonych atoli okropnemi torturami.

Trwało to przez długie lata, bo ciemnota była wielka, i dopiero oświata wyrugowała to okrutne pastwienie się nad ludźmi, a dziś w czarownice już nikt nie wierzy, i nie palą już ich na stosach.

O Chinach i Chińczykach.

(Ciąg dalszy)

Uprawa herbaty. Oprócz jedwabnictwa, które przynosi Chińczykom wielkie dochody, bogactwem dla tego kraju i narodu jest uprawa herbaty.

Herbata jest krzewem, i rośnie dziko we wschodniej części Chin. W stanie dzikim wysokość tego krzewu dosięga do 10 łokci, zaś krzew herbaty hodowany na plantacyach dosięga zaledwie 2 do 3 łokci, gdyż dla silniejszego rozkrzewienia się i otrzymania większej ilości liści, Chińczycy obcinają krzew od góry.

Herbatę uprawiają Chińczycy już od niepamiętnych czasów. Pewien włoski podróżnik pisał jeszcze przed kilkuset laty, że „Chińczycy hodują u siebie dziwną roślinę, z której wyciągają słaby sok i piją zamiast wina; sok ten podtrzymuje zdrowie i chroni od wszelkich chorób“.

Do Europy dostała się herbata z Chin dopiero od 260 lat, a u nas jeszcze w zeszłem stuleciu sprzedawano ją jedynie w aptekach na lekarstwo.

Uprawa herbaty w Chinach tak się odbywa:

Najczęściej sadzą krzew herbaciany na stokach wzgórzy, zwróconych ku południowi, bądź w postaci niewielkich gaików, bądź też szeregami wzdłuż pól. Skrzętny rolnik, jakim jest Chińczyk, korzysta z każdej piędzi swej ziemi, żeby zasadzić ją drogocennym krzewem herbacianym: sadzi więc herbatę na wysokich grobelkach, oddzielających pola ryżowe, w ogrodach i na polach. Tam, gdzie większy obszar pola zasadzony

jest szeregami drzewek herbacianych, przestrzeń wolną pomiędzy niemi zużytkowuje się pod warzywo.

Główną częścią krzewu herbacianego, dającą herbatę, są liście tej cennej rośliny. Są one dość duże, połyskujące.

Liście te obrywają trzy razy do roku: w kwietniu, czerwcu i sierpniu. Z pierwszego — wiosennego zbioru, otrzymuje się herbata najlepsza, najdelikatniejsza, z silnym zapachem: jest to tak zwana herbata kwiatowa. Późniejsze zbiory dają herbatę żółtą, zieloną i czarną.

Zrywanie liści odbywa się od wschodu słońca do południa. Z wierzchołka drzew obrywają do koszyków młode gałązki z liśćmi, które następnie rozścielają cienką warstwą na trzcinowych plecionkach. Tam schną one przez kilka godzin na słońcu.

Potem odbywa się skręcanie zwiędłych liści palcami i suszenie ich nad piecykami, napełnionemi żarzącemi się węglami. Po wielokrotnem suszeniu, przewracaniu sortowaniu, po odrzuceniu gałązek i odsianiu okruchów, liście składają się w paki i idą na sprzedaż.

Tak otrzymują się najlepsze i najdroższe gatunki herbaty. Gatunki najpośledniejsze, dla nadania im zapachu i barwy, zwykle mieszają z pachnącemi liśćmi niektórych roślin i sztucznie farbują.

Pozostałe okruchy liści, gałązek, kwiatów i t. d. służą do przygotowania herbaty cegiełkowej. U nas herbaty tej nie znają, ale w Rosyi, szczególniej zaś w Syberyi, herbata cegiełkowa jest najbardziej rozpowszechnioną. Nazwa jej pochodzi stąd, że okruchy herbaciane prasują silnie, zbijając je w dość duże, — funtowe lub parofuntowe cegiełki. Taka cegiełka jest tak twardą, iż trudno ją nawet nożem krajać; to też przed użyciem kładą ją do gorącego pieca (naprzykład po chlebie); gdzie przesycha i staje się kruchą. Wówczas rozkruszają ją, sypią szczyptę do garnka i gotują. Im dłużej się ta herbata gotuje, tem staje się mocniejszą. Smaczną jednak nie jest, to też zwykle dodaje się do niej dużo mleka i cukru; w wielu zaś miejscach taką herbatę cegiełkową gotują z solą, sadłem i kaszą — i jedzą, jako potrawę.

Trzeba prawdziwie chińskiej cierpliwości dla uprawy herbaty i przygotowania jej liści. Ale też Chińczyk nie żałuje pracy dla wyhodowania tego krzewu: przez całe lata kopie ziemię, nawozi ją, piele, dopóki nie doczeka się pierwszego zbioru liści.



Chińczycy.

Prawdziwie olbrzymią jest ilość herbaty, wywożonej corocznie z Chin. Sama Rosya kupuje od Chińczyków za 100 milionów rubli herbaty!

Główny handel odbywa się dwiema drogami; lądową przez miasto Kiachtę, na granicy Syberyi i Mongolii, i drogą morską — przez porty chińskie Kanton i Szanhaj, na Odessę i Petersburg. Do nas dochodzi przeważnie herbata lądowa.

Z prowincyj południowych, mianowicie z miasta Hań-kou, stanowiącego główny rynek handlu herbatą, dowożą ją do miasta Tientsinu, skąd na wielbłądach przez pustynię wysyłają ją do miasta Majmaczenu i Kjachty. Stamtąd wzdłuż Syberyi ku Rosyi Europejskiej ciągną długie tabory wozów, naładowanych herbatą. Samej tylko herbaty cegiełkowej wywożą tu przez Kjachtę do 25 milionów funtów, za sumę 6 do 8 milionów rubli.

Nie mniejszym jest też wywóz herbaty przez morze. Tak naprzykład przez port Szanhaj wywieziono w roku 1879.

do Anglii	około 35 milionów funtów
do Rosyi	1 mil. 500 tys. fun.
do Stanów Zjednoczon. Ameryki północnej	18 milionów funtów.
	Razem blisko 55 mil. fun. herbaty.

Próbowano uprawy herbaty i poza granicami Chin. Udaje się ona wprawdzie w Japonii, Indyach, na wyspach południowej Azyi — nigdzie jednak nie posiada takiego zapachu i takiej delikatności, jak w swojej prawdziwej ojczyznie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

POD BOREM.

Pod borem, pod borem,
Ochocze i hoże,
Bydełko się pasie
Na czarnym ugorze.

Pastuszkowie mali,
Pyrki *) sobie pieką,
Długie, sine dymy,
Od boru się wleką.

Błoniem się rozlega,
Wiatr co liść porusza,
Chrupanie bydełka,
Rozmowa pastusza:

— Nie długo, nie długo,
Poczernieje rola,
Święty Marcin z nieba
Przyjedzie na pola.

Na białym koniku,
Z oszroniałą grzywą,
W szarym długim płaszczu,
Z długą brodą siwą.

*) Pyrkami nazywają w Wielkopolsce kartofle, które w Krakowskiem nazywają ziemniaki.

Kruki zakrakają
I gawron srokaty,
A on spędzać będzie
Bydełko do chaty.

I pospędza wszystko,
Co jest na ugorze,
Z krówkami pastuszków
Ziębnących na dworze.

My wtenczas na ziemi,
W chacie przy kominie,
Siądziemy szykować
Kolędę dziecinie.

Tej onej ubogiej.
Co leży w stajence,
Naguśko we żłóbku,
Przy świętej Panience.

— A to ja tę świętą
Poproszę Matulę,
Niech włoży mu ze mnie
Świąteczną koszulę.

— A ja mu uplotę
Kapelusz słomiany,
Czerwoną tasiemką
Ślicznie opasany.

— A ja mu fujarkę
Wystrugam, obrobię,
Cztery w niej dziureczki
Kozikiem wyżłobię.

Cztery dziurki będą,
Od czterech stron świata,
Niechaj się jej granie
Szeroko rozlata.

Niechaj sobie na niej
Dziecina wygrywa,
Zbłąkane owieczki
Do siebie zwoływa....

— O, wicher od lasu,
Coś rzuca liściami,
I śnieżek na pola
Upada płatkami.

Kruki, wrony lecą
Z gawronem na przedzie,
To pewno za niemi,
Święty Marcin jedzie.

Anioł Pański słychać.
Zmrok się rozpościera,
Bydełko poryka,
I na nas spoziera.

Rozrzucić ognisko,
Podzielić co komu,
To tobie, to tobie,
I dalej do domu.

I idą powolnie,
Bydełko spędzają,
Anioł pański słychać,
A oni śpiewają.

— O bądź pozdrowiona,
O bądź uwielbiona,
Maryo!
Pasterko pastuszków,
Twych ubogich służków,
Królowo!

Kochaj nasze pola,
Strzeż je od kąkola,
O Pani!
Przytul nas do siebie.
Osłoń nas w potrzebie,
O Matko!

Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.